

# Przywołana pamięć

(Dokończenie ze strony 17)

giczne swojej rodziny, która od wieków była związana z Wronkami... od zawsze pachniała drewnem, żywiczną sośniną. Oprócz naszego warsztatu, drugi na Poznańskiej, konkurencyjny – dziadkowego brata – Edmunda oraz na ulicy Kościelnej zakład dwóch braci krewnych... Szczepaniaków. Ojciec Władysław miał warsztat stolarski obok domu w rynku pod numerem 4., zakupionym przez dziadka Józefa Grupińskiego.

Najbliższy kontakt miał Jerzy z mamą Joanną, piszącą wspomnienia, o których powie: *Cóż się z nimi porówna. Blednie moja pisanina...* Ojciec Władysław, mistrz stolarski, członek Stronnictwa Demokratycznego, w młodości rozmiłowany w wioślarstwie, kajakarstwie, skupiony na pracy mówił niewiele, najchętniej często milczący, jakby posiadający tajemnicę, której nie chciał ujawnić, której nie byłem godny. Najtrafniej charakteryzują ojca słowa matki: *Wszystko zawdzięczamy tatusiowi. Powtarzała: „Tatusi powiedział”, mówiła, gdy chciała pokazać nam (dzieciom) szczególnie ważne polecenia.*

Wyjątkową traumą stało się wysiedlenie z domu przez Niemców 22 listopada 1941 roku. Trafnie nazwie ten bolesny moment matka Pisarza, mówiąc do męża: *Ubieraj się szybko, bo przyszli nas wyrzucić.* Jak się później okazało zostali wywiezieni wozem do Dusznik Wielkopolskich całą rodziną, z matką karmiącą sześciomiesięczne dziecko (Janka, najmłodszego brata Jerzego). W dwudziestu minutach wysiedleńcy musieli spakować zabierany dobytek, kategorycznie ustalony przez esesmana. Zabrakło w nim ulubionych zabawek dzieci: *nakręcanej na kluczyk myszki oraz dużego pięknego bąka, który naciskany wydaje z siebie tajemnicze brzmienie i mieni się wszystkimi kolorami.*

Jerzy wraz z ojcem co chwilę musieli schodzić z wozu, by się trochę rozgrzać, panowało dokuczliwe zimno i mgła. I tak mieli szczęście, nie zostali wywiezieni do Generalnej Guberni (Jędrzejowa, do którego trafili inni mieszkańcy Wronki).

W tej „wycieczce” paradoksalnie zdarzyło się coś radosnego: *bo oto ojciec, który nigdy nie miał dla mnie czasu, biegnie ze mną za wozem, śpiewa, gwizdże* (jak to często bywa: zagrożenie zbliża ludzi).

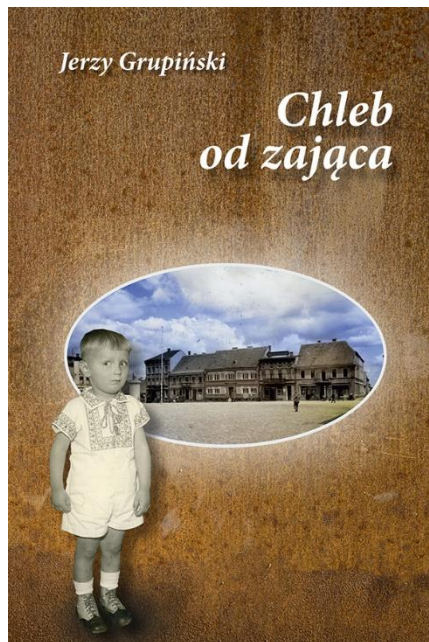
Jerzy Grupiński realistycznie, a często i z humorem, pisze o różnego rodzaju zdarzeniach w czasie okupacji hitlerowskiej, ciekawych i jednocześnie groźnych, przejawianym sprycie i elastyczności zachowań Polaków w zdobywaniu/uzyskiwaniu żywności (z najbardziej pożądanymi kiełbasą i masłem), drewna na opał (węgiel był tylko dla Niemców). Najważniejsze rezultaty w tym zakresie uzyskiwała matka Joanna, dzięki swej mądrości i przebiegłości. Zdarzali się porządni Niemcy, jak Bellau, aktualnie burmistrz mia-

sta (poprzednio był kościelnym, zamiataczem posesji pastora i zboru), nie przejawiał wielkiej urzędniczej gorliwości, pasji ani nienawiści do współmieszkańców – Polaków. To on zarejestrował nielegalny powrót rodziców do Wronki (konkretnie na przedmieście Zamocół), dał im kartki na zakupy.

W styczniu 1945 roku nastaje druga okupacja, już nie tak dokuczliwa dla mieszkańców, realizowana przez rosyjskich wyzwolicieli, tylko z pozoru przyjazna. *Na noc, na nocleg przychodzi kilku młodych żołnierzy. Pragną towarzystwa, zauważyli kobiety – ciocie przebywające w domu rodziców Autora. Wytwarza się niepożądana sytuacja. Awanturę kończy wezwany oficer. Ciocie są bezpieczne.*

Przejmujący widok prowadzonych tłumnie niemieckich jeńców, których pilnują Rosjanie z pepeszami.

Jerzy Grupiński interesująco prezentuje wiele barwnych postaci, tych ważnych, którzy rządzą i tych mniej znaczących, wszyscy są godni uwagi. Zapoznaje czytelnika z wnętrzami domów i mieszkań, trafnie wychwytuje szczegóły ich wystroju – w sprzętach i meblowaniu.



Szczególnie bogato opisuje stragany we Wronkach i Lubasz, sprzedawane sprzęty i przedmioty, nie tylko odpustowe. Nie zapomina o udzielanych klientom poradach, jak należy postępować ze zwierzętami: żeby koń nie rżał, czy osioł rzycał. Naprawdę przebogaty jest przedstawiony świat Wronki i okolicznych wsi. W miasteczku odbywają się procesje Bożego Ciała, koncerty strażackiej orkiestry dętej, zabawy taneczne (także na otwartym powietrzu), obchody 1 Maja i pochody z tym związane, popisy strażaków. Jest też wiele ciekawych obrazków związanych z pełnieniem funkcji ministranta w kościele klasztornym ojców Franciszkanów, śpiewaniem kolęd w chórze, grą na rodzinnych skrzypcach.

Bliskość rzeki Warty spowodowała trwającą do dziś wyjątkową pasję wędkarską

Jerzego, czytelnik zostaje zapoznany ze światem ryb (oczywiście słodkowodnych). W recenzji nie można nie przywołać znakomitej filozoficznej syntezy określającej okres dzieciństwa: *Czas i przestrzeń schodziły się... Świat spójny i bezpieczny.*

**Paweł Kuszczynski**

Jerzy Grupiński, „Chleb od zająca”. Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2022, s. 160.

## Gandhi

Recenzji nie piszę, bo nie potrafię. Kilka napisałem bez czytania czegokolwiek, ale na szczęście dla polskiej literatury, a jeszcze bardziej dla mnie samego, nikt tego nie chciał wydrukować. I tak jest po dzień dzisiejszy. Recenzje z tych tomików poezji są nadal, leżą w mojej szufladzie, wierszy nie czytałem, a lata płyną i płyną.

Dobra książka recenzji nie potrzebuje, bo ona ją *de facto* zawiera. Między wersami, między wyrazami, a nieraz można odszukać ją i między literami w prawie każdym słowie. Znany krytyk literacki, który pisał recenzję z mojej powieści mówił, że krytyk powinien być krytyczny, bo inaczej mija się z powołaniem.

Książka, czy niewielka książeczka, obojętnie jak to określimy i nazwiemy, może zawierać dużo słów i dużo treści, mało wyrazów, a treści jeszcze więcej niż grube tomy. Wszystko to zależy od tego jak książkę czy książeczkę czytamy, jak ją rozumiemy, jak przeżywamy i jak zapominamy. Zapominamy po kilku latach od zamknięcia okładek, zapominamy w trakcie czytania, czy odchodzi ona z naszej świadomości już przed jej otwarciem.

Książka profesorki **Sławomiry Wronkowskiej** o profesorze logiki Zygmuncie Ziemińskim, nazywanym Gandhi, to rzecz przednia i wzniosła. Czytałem ją co najmniej trzykrotnie. Pierwszy raz, wiele lat przed jej powstaniem, na wykładach Gandhiego. Drugi raz, gdy zdawałem u dr Sławomiry Wronkowskiej egzamin z logiki. Na czwórkę. I teraz przeczytałem każdą ze stron Gandhiego po raz kolejny. Każde z dokonań było takie jak i pierwszy wykład profesora Zygmunta Ziemińskiego, po którym byłem trochę inny niż przed wejściem na salę wykładową. Mimo że mam opinię osoby, która nie potrafi się zmieniać.

Ja i profesor Zygmunt Ziemiński byliśmy trochę podobni do siebie, zewnątrz. Wszystko, co w umyśle i wokoło umysłu różniło nas bardzo, biegunowo, południkowo i równikowo. Jeśli mógłbym odnieść się do lotu myśli poprzez krainy geograficzne. On wysoki i ja wysoki, On po latach z przerzedzoną czupryną, ja też, chociaż z tym uwinąłem się dużo szybciej. Różniło nas to, że on potrafił myśleć logicznie i pragmatycznie, a ja tak do końca